

Celina Wieniewska: Od tłumaczki

Był niski, nieatrakcyjny i chorowity, miał chude, kościste ciało i bladą trójkątną twarz z brązowymi, głęboko osadzonymi oczyma. Uczył plastyki w męskim gimnazjum w Drohobyczu w południowo-wschodniej Polsce, gdzie spędził większość życia. Poza granicami rodzinnego miasta miał niewielu przyjaciół. W wolnym czasie, którego przypuszczalnie mu nie brakowało, rysował i pisał bez końca – nikt nie był pewien, co takiego. W wieku czterdziestu lat, polecony przez znajomych, wysłał część swoich opowiadań Zofii Nałkowskiej, cenionej warszawskiej pisarce. Ukazały się drukiem w 1934 roku pod tytułem *Sklepy cynamonowe* – i nazwisko Brunona Schulza stało się głośnie. Trzy lata później wydano kolejny zbiór opowiadań, ilustrowany rysunkami autora – *Sanatorium pod Klepsydrą*. Następnie nowelę *Kometa* zamieścił czołowy tygodnik literacki. W międzyczasie Schulz przełożył *Proces* Kafki. Podobno pracował nad powieścią pod tytułem *Mesjasz*, ale nie ma po niej śladu. Oto suma jego literackiego dorobku.

Odniosłszy sukces literacki, nadal mieszkał w Drohobyczu. Tam zastał go wybuch II wojny światowej. Schulz trafił do getta razem z innymi drohobyckimi Żydami; wedle niektórych doniesień znalazł się „pod ochroną” gestapowca, któremu podobały się jego rysunki. Pewnego dnia w 1942 roku, wyposażony w specjalną przepustkę, wypuścił się do „aryskiej” części miasta. Rozpoznał go inny esesman, rywal jego protektora, i zastrzelił na ulicy.

Gdy w 1957 roku opowiadania Brunona Schulza ponownie ukazały się w Polsce, gdy zostały przełożone na francuski i niemiecki, wszędzie budząc uznanie nowego pokolenia czytelników, którzy wcześniej go nie znali, próbowano wpisywać jego dzieło w główny nurt literatury polskiej, doszukiwać się powinowactw i rodowodów, objaśniać go kategoriami tej czy innej teorii literackiej. To niemal niewykonalne zadanie. Był samotnikiem, żył osobno, przepełniony marzeniami, wspomnieniami z dzieciństwa, intensywnym, potężnym życiem wewnętrznym, malarską wyobraźnią, zmysłowością i wrażliwością na bodźce fizyczne, która najprawdopodobniej mogła znaleźć spełnienie jedynie w twórczości artystycznej – wulkan, tłący się cicho w odosobnieniu sennego, prowincjonalnego miasteczka.

Świat Schulza jest w zasadzie światem prywatnym. W jego centrum znajduje się ojciec, „ten niepoprawny improwizator [...], samotny bohater, który sam jeden wydał wojnę bezbrzeżnemu żywiołowi nudy, drętwiącej miasto”. Brodaty ojciec, czasem przypominający biblijnego proroka, jest jednym z największych literackich ekscentryków. W rzeczywistości był drohobyckim kupcem, który prowadził odziedziczony interes tekstylny, aż z czasem, zdjęty chorobą, musiał zostawić sklep pod opieką żony. Wycofał się na dziesięć lat w przymusową beczynność i świat

marzeń. Ojciec, który gromadzi wokół siebie księgi rachunkowe i ślęczy nad nimi wiele dni – a tak naprawdę odbija tylko kolorowe kalkomanie na liniowanych stronach. Ojciec, który ma zainteresowania zoologiczne, który sprowadza jaja egzotycznych gatunków ptaków i wylęga je na strychu; który jest zdominowany przez błękitnooką służącą Adelę; który uważa, że manekinom należy się taki sam szacunek, jak istotom ludzkim; Ojciec, którego wstręt do karakonów graniczy z fascynacją; który w chwili ostatniej apoteozy wznosi się ponad ordynarny tłum handlarzy i tonąc w rzekach sukna, dmie w róg Pokuty... Dalej jest Matka, która nie kochała męża prawdziwie, skazując go tym samym na egzystencję na peryferii życia, bo nie był zakorzeniony w sercu żadnej kobiety. Są wujowie, ciotki i kuzyni, każde opisane ze śmiertelną trafnością, epitetami jak z diagnozy klinicznej.

To byli ludzie Schulza, ludzie z Drohobycza, który na pewien czas stał się galijskim Klondike, gdy w pobliżu miasta odkryto ropę i wkroczyła prosperity, niszcząc stary, patriarchalny styl życia, przynosząc fałszywe wartości, podrabianą amerykańską i nowe sposoby na szybką fortunę – gdy białe plamy starej mapy miasta przeobraziły się w nową dzielnicę, a jej centrum stała się ulica Krokodyli, zaludniona rasą pustogłowych mężczyzn i kobiet lekkich obyczajów. Dawna godność Sklepów Cynamonowych, z ich aromatem przypraw i dalekich krajów, zamieniła się w coś krzykliwego, pośledniego gatunku, wątpliwego, nieco podejrzanego.

Można by dalej cytować te opowiadania; ktoś mógłby spróbować dokonać psychoanalizy Schulza na podstawie jego pisarstwa. Polscy i inni krytycy zwracali uwagę na wpływ Tomasza Manna, Freuda i Kafki. Może mają rację, może nie – mówi się też, że Schulz przeczytał *Proces* po raz pierwszy, gdy dostał go do recenzji, po publikacji *Sklepów cynamonowych*. Nie ulega za to wątpliwości pewne podobieństwo atmosfery życia Kafki i Schulza na ich prowincjach. Dla tych dalekich reliktyw dawnego Cesarstwa Austro-Węgierskiego, gdzie pamięć o „dobrym” cesarzu Franciszku Józefie wciąż była żywą tradycją, to Wiedeń w znacznie większym stopniu niż Praga czy Warszawa był centrum życia kulturalno-artystycznego.

Jednak to, czy te rodowody odpowiadają faktom, właściwie nie ma znaczenia, bo opowiadania Schulza wciąż mówią same za siebie, tym samym głosem, co w latach trzydziestych. Wyłania się z nich zatopiony świat, utracony na zawsze pod lawą historii: zwyczajne prowincjonalne miasto ze zwyczajnymi ludźmi, którzy zajmują się swoimi codziennymi sprawami, miasto trawione letnim upałem wakacji, które przeżywa każdy uczeń, czasem targane wichrem, który niespodziewanie przychodzi gór, ale zwykle sennym, letargicznym – tu ożywionym dzięki magicznemu dotykowi poetyckiego geniusza, w prozie tak zapadającej w pamięć, przemożnej i niepowtarzalnej jak ślady pędzla Marca Chagalla.

Przełożyła Zofia Ziemann